

Władysław Judycki

Anegdoty odcinek 3

Start do regat Góra Kalwaria – Warszawa: Widzę **Piotra Osóbkę** wyprostowanego na całą wysokość w kokpicie swej omegi, spychającego znad głowy inną omegę, która wjechała aż po miecz.... do kokpitu. Szczęściem łódkom nic się groźnego nie stało. O protestach i wynikach regat, pamięć nie zachowała się.

Na wojennym okręcie wielkiego mocarstwa:

Marynarz melduje: „Tawariszcz Kapitan - Golsztröm zamior-z !”

Kapitan odpowiada gderliwym głosem: „Wsięgda gawarił: nie prinimat Jewrejew w Krasnuju Armiiu !”

Brałem udział w dziewiczym rejsie kapitańskim **Karmeny Stańkowskiej** (na s/y J. Conrad). Pierwszym był **Władzio Mindur**, trzecim ja, w załodze **Danka Maryjowska**, **Janusz Mazurowski**, **Andrzej Apollo**, Załogi starczało zaledwie na dwuosobowe wachty. Związane to było ze zmianą przepisów, a więc z tym, że nie wszyscy zdążyli z uzyskaniem odpowiednich wpisów do książeczek żeglarskich.

Istnieje tradycją uświęcony zwyczaj dokonania zaślubin kapitana pierwszy raz dowodzącego, z Neptunem Odbył się więc odpowiedni toast do Neptuna w wykonaniu Pani Kapitan. Odpowiednich instrukcji udzielił Władzio. Stakańczyk wódki - kapitan spełnia toast frontując w kierunku rufy, a wszyscy załoganci którzy mają obowiązki na pokładzie muszą zwrócić się w kierunku dziobu oby nie zakłócać intymności chwili... nikomu nie wolno podglądać! I o czym kapitan rozmawia z Neptunem pozostaje ich tajemnicą.

W tym rejsie zdarzyło się nam wychodzić w morze wieczorem z Ustki (chyba?) Dostaliśmy informację o zamkniętym akwenu ze względu na strzelania czy inne ćwiczenia wojskowe. Wschodnim ograniczeniem akwenu był południk wykreślony z zachodniej główki portu. Naszym celem jest Świnoujście, co oznacza konieczność dojścia kursem N do końca zamkniętego akwenu i tam przyjęcie kursu bardziej zachodniego. Wiatr mamy od lądu o sile nie więcej niż 0,2B – baksztag, prawie fordewind, prawego halsu. Ze względu na martwą falę wszystkie bomby są zabezpieczone kontraszotami. Jest to moja dwuosobowa wachta wieczorna, na sterze Danka. Już całkiem po ciemku osiągamy nasz docelowy punkt, w którym trzeba zrobić zwrot przez rufę, a następnie trochę wyostrzyć. Musiałem przełożyć wszystkie kontraszoty przełożyć żagle... i zwrot przez rufę wykonywaliśmy wraz z dzielną sterniczką 40min !

Przed wyjściem w rejs do Anglii (1962 s/y J. Conrad)) żona **Jasia Sauera** (pierwszego) doniosła mu na burtę resztę osobistego ekwipunku. Jasiu po przejrzeniu, wygłosił następujące zdanie pochwalne na jej cześć: „Popatrzcie żona żeglarza dobrze wie, że na jachcie na pewno są igły i nici i dlatego w tym *pudelku z szyciem* znajdują się tylko guziki których brakuje w moich koszulach...”

Poniższa opowieść nie jest żeglarską ale związana jest z morzem, które wtedy nie było mi znane. Był rok 1945 wczesna jesień, trafiła się okazja wyjazdu do Zakopanego i mama zabrała nas na tą wyprawę. Wjechaliśmy na Kasprowy Wierch i tam na największej sali (wtedy wydawała mi się ogromną) pełnej ludzi (wydaje się, że nie z jednej grupy) wszyscy śpiewali chórem: „Morze nasze morze wiernie ciebie będziem strzec, mamy rozkaz cię utrzymać albo na dnie twoim lec...” był to wyraz entuzjazmu którego jeszcze służby bezpieczeństwa nie zgasiły. Wiem, że zdawałem sobie sprawę z podniosłości tej atmosfery, choć miałem nieco ponad 10 lat. Tam nie pito wódki, tylko herbatę - bardzo drogą bo wodę trzeba było donosić piechotą z dołu. Było to jak teraz wiem przeniesienie patriotycznej atmosfery czynów gen Hallera i echa pracy organicznej związanej z przedsięwzięciem budowy Gdyni na aktualną sytuację, na którą patrzono w pełni nadziei związanej z właśnie odzyskaną niepodległością.

Inne nieżeglarskie wspomnienie morskie:

W wakacje 1947 roku byliśmy w Gdańsku - Nowym Porcie w odwiedzinach u wuja komandora Witolda Wronki, który właśnie objął dowództwo portu wojennego Gdynia - Oksywie. Z tego powodu mogliśmy być w miejscach niedostępnych zwykłym urlopowiczom (słowo „wczasowicz” wtedy jeszcze nie było używane). Moja mama w towarzystwie naszej ciotki siostry Komandora przechodziły koło wszystkich ostrzeżeń „Obcym wstęp wzbroniony” tłumacząc sobie: „My nie jesteśmy obce – my jesteśmy kuzynki” Zwiedziliśmy z pomocą motorówki MarWoju, zatopiony w główkach portu gdyńskiego pancernik „Gneisenau” gdzie musieliśmy spędzić trochę więcej czasu bo w porcie wywróciła się łódka i panowie obsługujący motorówkę popłynęli na ratunek. Zwiedziliśmy wówczas zupełnie niedostępny i nieuporządkowany teren Westerplatte. Z tego ostatniego miejsca pamiętam wysokie na jakieś dwa metry hałdy amunicji strzeleckiej.

O wspomnianym tu komandorze Wronce bardzo dobrze wyrażał się Bibek Pierozek opowiadając, że położył duże zasługi dla odbudowy i rozwoju powojennego żeglarstwa na terenie Gdańska i Gdyni.

Ten kawałek piszę w dniu pogrzebu **Jacka** (jak się okazało Mariana Jacka) **Pajączkowskiego** (1935÷2011), Niechaj to jedno zdanie będzie ku jego pamięci bo historia dotyczy jego brata.

Andrzej czyli **Pajak Starszy** „jak zaczął pracować w Magistracie”¹, (tak zwykł mówić w późniejszych latach do młodszych kolegów) tzn w Biurze Ulic i Placów (to była bardziej skomplikowana nazwa ale jej nie pamiętam) przy Stołecznej Radzie Narodowej, to jedną z pierwszych jego inicjatyw było wyasfaltowanie małej uliczki na Mokotowie – Wejnerta bo tam mieszkała **Danusia** wtedy jego narzeczona. Historię tą znam nie od samego Andrzeja, a od osób trzecich, ale bardzo mi się podobała. Trochę przypominała historię gdy po śmierci Stalina nakazano w miastach przemianowanie głównej ulicy na ulicę Stalina. Łódź miała taką małą przecznicę, która nazywała się Główną i ta ulica została nazwana ul. generalissimusa; czym skończyła się awantura z tym związana to nie wiem... Jak powiedziałem historia podobała mi się i opowiadałem ja przy różnych okazjach oczywiście bez nazwisk. Zdarzyło mi się opowiedzieć to na spotkaniu u bliskiej znajomej Basi Jonscher, malarki (1929÷1986). Słuchała tego jej przyjaciółka Alicja Wirthowa (1926÷2000) – szkoda, że tego nie wiedziałam wcześniej, przecież mój ojciec jest szefem tego biura a nasza Glogera ciągle jest „kociołkowa” - usłyszałem. Było to w czasie gdy mąż Alicji Andrzej Wirth i Baśka mieli fuchę z redakcji „Przeglądu Kulturalnego” czy podobnej gazety która polegała na tym, że chodzili „służbowo” do teatru i on pisał felieton a ona tworzyła jakiś rysunek. Kończyło się to czasem opowiadaniem „poza anteną” np. o tym jak Nina Andrycz musiała wysoko trzymać głowę, grając młodziutką Antygonę czy Balladyne, by nie było widać skutków upływu czasu na skórze jej szyi. Andrzej wykorzystując brzmienie swojego nazwiska „wybrał wolność” w RFN, a znakomita scenograf została w 1968r. żoną Jeremiego Przybory (1915÷2004).

1 Słowo „magistrat” zostało w tamtych czasach wyeliminowane. Pozostało jedynie w nazwie pewnego rodzaju studiów i w postaci małej uliczki Magistrackiej na Kole.

Krzysia Baranowskiego poznałem w czasie AŻMP w Wilkasach 1957r. Startował na słonce z AZSu Wrocław z Warszawy startowały co najmniej trzy słonki **Zbyszka Maliszewskiego**, jego brata **Jerzego** i **Hanki Dzierżyńskiej** (byłem jej załogantem). Wynik regat był bardzo korzystny dla Warszawy co powodowało, że do ŻMP dwie załogi warszawskie zostały wystawione z ramienia ZG AZS a kluby miały też prawo wystawić swoje załogi z Warszawy była to Hania, a z Wrocławia Krzysiek. Naturalnym szefem ekipy AZS był Zbyszek Maliszewski i jako taki zwołał ekipę na naradę („choć Krzysiu pogadamy jak będziemy pływać w jednej drużynie”). Zbyszek wygłosił wykład w którym pokazywał jak wspomagać się taktycznie by m. in. legalnie blokować „obcych”... w pewnym momencie Krzyś odkrył: „to ja rozumiem, że jak dałem rady jednemu Maliszewskiemu to natychmiast na prawym zjawiał się drugi a jak nie on to Hania...”

Z tej imprezy zapamiętałem „Kukułeczkę” wykonywaną przez duet **Hazaj – Krzyś** gdzie miejsce rzewnego „kuku, kuku” zastępowało się odrażającym „kra, kra”.

Nie każdy wie, że zanim Krzysio rozwinął swoją bogatą działalność żeglarską i społeczną to działał w pierwszym wyuczonym zawodzie tj elektronice. W takim charakterze pracował w PIE (w jednym zespole z moją żoną Krysią) gdy przyjechał do Warszawy na kursy dziennikarskie. Gdy je ukończył został dziennikarzem od spraw techniki w Trybunie Ludu. Krzyś zrobił materiał z mojego instytutu (300m od siedziby redakcji) i Trybuna opublikowała moją podobiznę...

Jakoś zapamiętałem że w czasie tej „imprezy centralnej” jak zwano oficjalnie AMP (AŻMP) zapoczątkowany został proces, o zabarwieniu matrymonialnym, przeniesienia **Murzyna (Hani Paprockiej - Pajączkowskiej)** z Poznania do Warszawy.

W 1959 r. trafił mi się wyjazd do Włoch (drogą lądową) gdzie bardzo spodobali mi się weneccy gondolierzy. Powstał więc pomysł by stworzyć podsekcję gondolierów. Trzeba by było przymocować do burty puchówki wysoką dulkę – na to nie było zgody szefa technicznego... i sprawa upadła. Pewnie bym o tym nie wspominał ale zdałem sobie sprawę że gondolierzy są jedynymi wiosłarzami którzy wykonują ruch roboczy pchając. Wszyscy inni skifisci, kanadyjkarze czy kajakarze ciągną (wykonują pociągnięcia), a gondolier wygląda zdecydowanie bardziej atrakcyjnie.... Pozostało zdjęcie Hazaja pływającego przy wysokiej wodzie wokół hangaru markującego śpiew przy gitarze używając do tego wiosła.

Oprócz wspomnianej maszoperii **Fiejków** była jeszcze jedna zorganizowana wokół Ω . Stanowili ją **Amon (Andrzej Leśnikowski)** **Skulscy (Ela Świerżewska i Leszek)**, **Tadeusz Druet** (ten który trafił do kupletów o trylisinie, największym wrogu łysin – „Czym dla babci jest kozeta, tym trylisin dla Drueta”) był chyba jeszcze czwarty współnik ale nie pamiętam kto to był (może **Drewiczewski?**). Ciekawą sprawą było utrzymanie tej łódki – wtedy jeszcze w technologii lakierów olejnych. Łódkę trzymano na wodzie stosunkowo krótko (dwa miesiące wakacji) potem była dokładnie suszona i oczyszczana i dostawała przed zimą warstwę lakieru i następną wiosną przed sezonem. Lakier na tej łodzi był idealny – budzący zazdrość

Teraz na zakończenie postaram się wprowadzić poprawki do poprzednich odcinków a wynikające głównie z uwag PT kolegów.

Piotr Osóbka koryguje powód zniknięcia hangaru AZS-u w 1952 r. nie była to powódź a kilkunasto sekundowy szkwał o takiej sile, że wyrócił łódki na bojkach – nie zdążyły odwrócić się do linii wiatru – i przeniósł hangar za wał. Piotr był przy tym bo właśnie roztaklowali łódkę po pływaniu i ich też poturbowało.

Hania Pajęczkowska uzupełniła informacje o **Zdzisiu Kostrzewie** -cytuję: „Mogę dodać, że wspomniany w poprzednich wspominkach Zdzisław Kostrzewa, mąż Bożeny do dziś pracuje jako architekt i jest współprojektantem m.in. kilku stacji metra warszawskiego (pl. Wilsona, Młociny). Obydwoje żyją i mieszkają na Bemowie.

Zakończyłem 16 maja 2011r. I chyba wyczerpałem zasoby pamięci własnej.

wjudyckki@o2.pl